

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 13 PAŹDZIERNIKA 1928 ROKU

NR 42

TREŚĆ NUMERU: Najsurowszy sędzia—*J. Prażmowska*. Pionierki ziem obiecanych—*M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Pejzaż”, „Miłość”—*Kazimiera Młakowiczówna*. Niepotrzebne wzruszenie (nowela)—*Herminja Naglerowa*. Cień—*Marja Stagińska*. Ogrody i parki w Polsce—*Zygmunt Knothé*. Czterdziestolecie zasłużonej pracy. Wystawa berlińska „Odżywianie”—*Kamila Chotoniowska*. Zużytkowanie ziemniaków w gospodarstwie domowym—*L. Przepisy gospodarskie—Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Aksamit—*Well*. Dodatek „Kultura Ciała”: O odmładzaniu—*Dr. J. Switalska*. Zniekształcenie ciała—*Dr. Adolf Klęsk*. Higiena poszczególnych sportów—*Dr. Giżycki*. Kobieta, a sport łączny—*M.* „Z nowinek świata”—*Dr. Jaroszewiczówna*. Odpowiedzi Redakcji. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy”—*M. Beniśławska*. Tablica kroju.

NAJSUROWSZY SĘDZIA

Wszyscy wiedzą i liczą się z tem, że wychowanie człowieka zaczyna się od pierwszych miesięcy jego życia. Ale kiedy się kończy? Nad tem mniej się jakoś zastanawiamy, prawdopodobnie dlatego, że mniej to jest w praktyce potrzebne. Większość ludzi, gdyby im zniemacka zadać to pytanie, uznałaby ukończenie szkoły średniej za kres wychowania człowieka. Tak to napozór wygląda, od tej bowiem chwili nie słyszymy już nauk moralnych i wyraźnych wskazówek: „tego nie rób!” „tak zawsze postępuj!”. Niepostrzeżenie dla nas samych wstępujemy do szkoły życia, szkoły zupełnie innej pod względem wychowawczym, niż tamta, prawdziwa, bo nikt tu nie prostuje odręcznie ścieżek naszego postępowania, nie otrzymujemy do rozwiązania zadań, które natychmiast zostaną sprawdzone, skorygowane i ocenione.

Życie, dając nam swoje zadania do rozwiązania, rzuca jedną jedyną wskazówkę: „prędzej!” — staramy się więc znaleźć najkrótszą, najłatwiejszą drogę, choć nie zawsze, według kryterjów, stosowanych w okresie, gdy nas wychowywano, możnaby ją nazwać dobrą. Przeważnie nie skracamy jej zbyt; te ryzykowne skróty sami z pogardą nazywamy fałszerstwem, paskarstwem, defraudacją — to już ścieżki niebezpieczne i mało kto na nie wkracza. Ogół pozwala sobie tylko na nieznaczące odstępstwa od „dobrych” dróg,—takie małe dróżki, przez miliony ludzi wydeptane, znane i wygodne. Konwencjonalne kłamstwa, mała dyplomacja życiowa, nieszkodliwe pozowanie; grzeczność, należna ludziom, wyżej postawionym, a trzymanie w karchach podwładnych, interpretowane swoiście; przeżywanie własnych, ciężkich lub urojonych, zmartwień

i chorób w ten sposób, że całe otoczenie odchoro— wuje je naprawdę — to są nasze codzienne, małe odchylenia z szerokiej drogi.

Rezultatem kilkunastu lat chodzenia po tych ścieżkach jest to, że dla najświętszych własnych ideałów młodości mamy ten sam uśmiech pobłażania, co dla znalezionych na strychu dziecinnych zabawek.

Kiedys bawiła nas donkiszocka walka o sprawiedliwość w życiu, o prawdę zawsze i wszędzie, wiara w powszechne braterstwo, opanowywanie siebie — rzeczy, tak nieprzydatne w życiu i niepodobne do niego, jak te tekturowe domki i lalki z porcelanową buzią.

Nie spostrzegamy już, że na jedno ustępstwo, do którego zmusiło nas twardą ręką życie, 99 zrobiliśmy dobrowolnie, przez lenistwo, dlatego, że zrezygnowaliśmy zupełnie z pracy nad sobą i, zapomniawszy, że kto nie idzie naprzód, ten się cofa,—cofamy się powoli a nieustannie, pozwalając sobie dla chwilowej wygody na cały szereg ustępstw, na które ani sami nie pozwolilibyśmy sobie w młodości, ani nie pozwalamy naszym dzieciom. Gdy raz wypuścimy cugle z rąk, trudno je już ująć zpowrotem, i oto ostatni etap — starość—schodzi nam na zatruwaniu życia otoczeniu, co się chętnie zwala na dolegliwości wieku, a co jest tylko logicznym następstwem „samozaniedbania” moralnego.

Nim jednak „zetniemy” się na tym ostatnim egzaminie, życie każe nam zdawać colloquium przed nauczycielem bardzo wymagającym, nawet bezwzględnym, a nadewszystko—nieubłaganiem konsekwentnym. Tym nauczycielem jest dziecko. Każdy się z niem

w życiu styka, każdy w ten czy inny sposób dostaje się w jego pole obserwacyjne i zostaje surowo oceniony.

Gdy dziecko zaczyna poznawać świat, imponuje mu przedewszystkiem siła i wiedza, pozwalająca na dawanie sobie rady w okolicznościach, według jego pojęcia, trudnych. Przychodzi jednak moment, gdy dziecko—czy to wskutek silniejszego rozwoju uczuć religijnych, tak częstego w wieku lat kilkunastu, czy wskutek zetknięcia się z harcerstwem, czy wreszcie pod wpływem wskazówek rodziców i wychowawców,—zaczyna zwracać uwagę na wartości moralne i te z kolei zaczynają mu imponować. Siłą rzeczy szuka ich przedewszystkiem u swych dawnych autorytetów i nie jest tylko zbiegiem okoliczności, że najczęściej w tym okresie następuje przełom w stosunku dzieci do rodziców, często bowiem dziecko nie znajduje tego czego szukało. Spostrzegawcze i konsekwentne dziecko prędko dostrzeże różnicę między tem, jak każemy postępować jemu, a jak postępujemy sami, i czuje, że coś tu jest nie w porządku.

W odwiecznym konflikcie między starszem, a młodszem pokoleniem, konflikcie, któremu tyle rozpraw naukowych i dzieł literackich poświęcono, bardzo rzadko i tylko pośrednio porusza się tę sprawę, stwierdzając raczej istniejący stan rzeczy, niż znajdując wyjście z sytuacji,

Od wieków kręcimy się w błędnem kole: wskazujemy dziecku najlepsze drogi postępowania, uczymy je opanowywać się i hartować w drobnych przeciwnościach życia codziennego, strasząc je zgubnymi skutkami złego postępowania, a w jego oczach sami codziennie nie stosujemy się do wygłaszanych zasad i jednocześnie chcemy za wszelką cenę utrzymać swój autorytet wobec dziecka, często nawet bardzo wyraźnie kosztem prawdy.

Dziecko, będące w tym konflikcie zawsze stroną słabszą, ma jedną rekompensatę, że gdy dorośnie będzie mogło robić to samo; jednak perspektywa tej wątpliwej wartości nagrody nie jest dostatecznym zadośćuczynieniem za to gorzkie rozczarowanie, jakie przeżywa, spostrzegłszy, że ci, których najwięcej kocha, nie stoją na wysokości nawet tych wymagań, według których ono samo postępuje. Nie chcąc sądzić tych, których kocha, dziecko nawet przed sobą samym nie formułuje swoich spostrzeżeń, jako krytykę rodziców; ale miłość nie może przeszkodzić mu widzieć,—i swoje spostrzeżenia przeżywa nieraz bardzo boleśnie, choć o nich nie mówi.

Dlatego rodzice, którzy widzą, że ich kontakt z dzieckiem słabnie, że, jak to się mówi: „dziecko traci do nich zaufanie“, niech zamiast narzekać, lub szukać winy w złych wpływach z zewnątrz, poddadzą rewizji swój stosunek do dziecka i swoje postępowanie w życiu codziennem.

Podstawa dobrego współżycia jest bardzo prosta: nie wymagać od dziecka tego, czego nie wyma-

gamy od siebie. Czyż mamy prawo strofować dziecko, że jest nadąsane i odzywa się do kogoś ze złością, jeśli pięć minut temu robiliśmy wymówki służącej to-nem, w którym znać było bynajmniej nie stanowczość, potrzebną wobec służby, ale poprostu pasję? Widocznie nie mamy w sobie pogody i cierpliwości, której wymagamy od dziecka.

Obecnie narzeka się powszechnie na brak patriotyzmu wśród młodzieży: „myśmy w ich wieku więcej o tem myśleli!“ Zapominamy, że nasz patriotyzm polegał na przeciwstawianiu się przemocy, nie był twórczy. Naśladowaliśmy starsze pokolenie; ambicją było nie dać się i przeciwstawiać wszelkim nakazom obcej władzy. Tak jak starsi obchodzili wszelkie prawa i przepisy władz zaborczych, my w szkole oszukiwaliśmy inspektora i nauczycieli -rosjan i, marząc o niepodległej Polsce, która kiedyś tam, jakimś cudem wskrześnie, płataliśmy psie figle znienawidzonej władzy.

Dziś patriotyzm — to nie wrośnięcie nogami w grunt, aby nas tylko nie zepchnięto — dziś, to walka o rekord czynu!

Takiego patriotyzmu wymagamy od młodego pokolenia wtedy, gdy występujemy wobec niego w odświętnej szacie moralnej: w prelekcjach, książkach, artykułach; na codzień zaś, w czterech ścianach swego domu, sporządzamy fałszywe zeznania o dochodach, byle mniejsze płacić podatki; handlujemy mieszkaniami, szmuglujemy, co się da, z zagranicy i ustawicznie wyrzekamy na rząd, bez względu, czy jest on taki, czy inny politycznie: poprostu dlatego, że jest rządem. Rezultat takich metod jest dwojaki: albo młodzież, z natury skłonna do optymizmu, zacznie się krytycznie odnosić do nas i traktować, jako swoich przeciwników ideowych—będziemy wtedy wyrzekali, że traci do nas szacunek i zaufanie; albo przejmie się duchem defetyzmu, uzna, że w takich stosunkach nie warto myśleć o czem innem, jak o wydobyciu z życia maximum przyjemności, i zacznie to wprowadzać w czyn ze zwykłą sobie konsekwencją, a wtedy również będziemy rozdzierać szaty nad zmaterializowaniem, brakiem ideowości i t. p. wadami dzisiejszego młodego pokolenia.

W każdym podobnym wypadku gorliwie staramy się wykorzenić tę brzydką wadę w charakterze dziecka, nie zastanawiając się nad jej pochodzeniem. Jest to tak, jakby kto chciał leczyć zewnętrzne objawy choroby, a nie samą chorobę.

Wychowanie dzieci wymaga od rodziców wysiłków nietylko materialnych i umysłowych, ale i moralnych. Możemy być pewni, że zostaną one ocenione przez dziecko, które z tą samą spostrzegawczością, z jaką zauważyłoby nasze błędy, zauważy i to, że surowi jesteśmy i dla siebie, nietylko dla niego. Matka, ojciec lub wychowawca, który ma cywilną odwagę przyznania się do popełnionej omyłki wobec dziecka, jeśli umie to zrobić z godnością, nie przesta-

nie być autorytetem; traci natomiast wszelki szacunek raz na zawsze, jeśli spróbuje wykręcić się kłamstwem, lub zaznaczy swoją przewagę słowami: „ja ci to mówię, więc tak jest!”

Jest to knock-out, nie argument, i dziecko uzna wprawdzie dyskusję za skończoną, ale drugi raz nie przyjdzie dzielić się swymi wątpliwościami; natomiast zacznie wyszukiwać omyłki i niekonsekwencje w postępowaniu tego, kto tanim kosztem chciał być nieomylny.

Ta zato matka, która, dowiedziawszy się, że syn jej chce zostać harcerzem, zamiast przyjąć to z bagatelizującą pobłażliwością, przeczyta sobie prawo harcerskie i powie: „wiesz, najwięcej podoba mi się prawo, że harcerz jest pogodny we wszelkich okolicznościach; ja też zacznę je stosować” — zdobędzie sobie od razu prawo obywatelstwa w nowym świecie dziecka. Jeśli spełni to, co postanowiła — prócz utrzymania serdecznego kontaktu z dzieckiem zyska wiele jasnych chwil, przeżywając drugi raz swe młodzieńcze dążenia do doskonałości i znajdzie świetną broń w walce z przykrościami szarego dnia codziennego.

Wybrałam ten przykład umyślnie, gdyż uważam, że brak pogodnego stosunku do życia jest jedną z najważniejszych i najczęstszych wad charakteru, będącą

źródłem wielu innych; podobne jednak sposoby odniesienia się do tego, co młódzież przeżywa, możnaby stosować i w innych dziedzinach. Wiemy, jak młódzież przejmuje się hasłami społecznymi, kierunkami artystycznymi, sportem, jak kruszy w ich obronie kopje z gorliwością błędnych rycerzy. Nie sądźmy, że nie warto nam się tem zajmować, bo już jesteśmy wyżej po nad to. Postarajmy się poznać i zrozumieć, a na pewno za każdym razem sami się czegoś nauczymy. Gdyby wszyscy starsi wiedzieli, ile pięści zaciska się pod stołem pod wpływem lekceważąco-pobłażliwego tonu, jakim mówi się o rzeczach, porywających młódzież — napewno wyrzuciliby ze swego repertuaru ten ton, będący nie czem innym, jak brutalnym wykorzystaniem swojej przewagi wobec słabszych — wadą, za którą tak gorliwie karcimy dzieci.

Nie mówmy tonem wyższości: „gdy poznacie życie tak, jak my...” bo nie jest wyższością, że poszliśmy na kompromisy i ustępstwa, gdy oni jeszcze walczą. Skończmy raz z przesądem, że jesteśmy nieomylni, i że wszystko, co dobre, na nas się kończy. Jeżeli chcemy mieć rzeczywiste i uczciwie nabyte prawo głosu w życiu, musimy nietylko pamiętać o przysłowiu: „do śmierci człowiek się uczy”, ale dodać do niego jeszcze: „i do śmierci musi się doskonalić.” *J. Prażmowska.*

M. H. SZPYRKÓWNA

PIONIERKI ZIEM OBIECANYCH

Po ziemi polskiej — po każdej powojennej ziemi, jak sądzę!... — rozsiane są, jak wyspy na morzu, placówki pracy, stworzone przez kobiety. Stworzone przez nią, utrzymywane przez nią i przez nią podnieszone ku poziomowi, na jakim stoi sama pod względem wydajności pracy, twórczości pomysłu i energii wykonawczej.

Jakoś szczególnie wybitnie uderzyła mnie teraz ta twórcza, istotna ważkość wkładu naszego — nas, kobiet — w dorobek kraju, zabawna rzecz! — w Zaleszczykach. Któż nie słyszał o zaleszczyckim klimacie, zaleszczyckich morelach i Zaleszczyckim Dniestrze z jego plażami?! Dziś jest to już teren w Polsce popularny. Dziś! Ale nie był nim jeszcze ani przed trzema laty. Ba! jeszcze zeszłego roku. Dopiero ten rok miał być rokiem wygody i komfortu dla stęsknionych za nim, i, niestety, słusznie! — letników. Ten znowu rok obiecuje nam, nawiasem mówiąc, masami rozmaitych rozkoszy... w przyszłym sezonie. Ale jednak już ten rok w Zaleszczykach może się pochwalić coś sześcioma urządzeniami niejako pensjonatami, nie mówiąc o urządzeniach, które wprowadza — albo i nie wprowadza — miasto, jako takie. Mnie szło nara-

zie o inicjatywę prywatną, i to o inicjatywę kobiecą, mianowicie.

Bo tak to się już jakoś utarło, że pensjonat u nas — to jednak większością placówka pracy kobiecej. Czy słusznie — możnaby jeszcze mówić. Osobiście uważam, że współdziałanie męskie w placówkach, ogółem kobiecych, wnosi wartości dodatnie i uzupełnia je szczęśliwie — oczywiście, o ile jest na poziomie. Jednak koniecznym nie jest wcale, bodaj wnosząc z olbrzymich organizacji, kobiecych ekskluzywnie, jakie obficie istnieją i wspaniale się rozwijają w Anglii i Ameryce, tych przodowniczek ruchu emancypacyjnego. Toteż i u nas zarówno organizacje, jak poszczególne kobiety tworzą na własną rękę placówki i warsztaty, stowarzyszenia i prywatne interesy; gdzie inicjatywa jest rzeczą kobiety narówni z wykonaniem, sposoby sfinansowania, pożyczek, inwestycji, rozbudowy, lub reorganizacji — muszą być przez ową wszechpojemną dziś głowę niewieścią samodzielnie i nawet bez porady męskiej przeprowadzone. Ba! Gdybyż jeszcze tylko bez porady! Często inicjatywa żony, siostry, lub córki spotyka się z najgorętszą dezaprobatą męża, brata, czy rodziny. Nie-

tyle może nawet ze względów zasadniczych, które już dziś odeszły w krainę przeszłości, ile — dzięki pewnej nieufności mężczyzny, a nieraz i samychże kobiet, w siły, zdolności zaradcze i wogóle — w szczęśliwe przeprowadzenie zamierzonych planów przez inicjatorkę. Jakoś za młody jest jeszcze, widocznie, samodzielny ruch ekonomiczny i fachowy kobiet, aby już zdążył sobie pozyskać murowane uznanie.

I otóż o tych Zaleszczykach,

Zbadałam troszkę te stosunki pensjonatowo-letniskowe i zdumiałam się głęboko. Rzecz prawie nie do wiary: a jednak, zaleszczyckie: być albo nie być — leży w rękach kobiet! Jest to naprawdę nasza Riviera, nasz najpołudniwszy zakątek, nasze morele i nasze uzdrowieńczo-kurortowe perspektywy. A, śmieszna rzecz! Gdyby nie znalazło się tych kilka pań, które się znalazły: dziś nie mogłabym być w Zaleszczykach w możliwych warunkach bytowania, a ze mną razem i wiele innych osób, które tam były, są i będą. Prostu, nie było tam nic! Puste wywieiska naddniestrzańskie i chałupy podolskie. Trzeba było zrobić wszystko od początku — skądś, ze świata, najczęściej na niewiadome, przyjechać na te wywieiska, zatrzymać się w okropnym zajeździe, albo chacie, omawiać ceny, szukać, rozważać, znaleźć, zdobyć pieniądze, zaryzykować ich włożenie w interes, który się oprocentuje, albo przepadnie; pozawierać akty, umowy i formalności — uciążliwe i wymagające znajomości rzeczy — słowem, dokonać całej batalii wstępnej dla tego tylko, aby... zdobyć kawałek tego najbardziej południowego w Polsce terenu błogosławionej ziemi naddniestrzańskiej, nieraz *in crudo* — to znaczy, zachwaszczonej i porytej rozlewami rzeki, zarzuconej kamieniami i niemającej błękitnego pojęcia o takiej rzeczy, jak klomby. I dopiero, zdobywszy te osypiska za drogie, drogie złote (niewiedzieć czemu, wszystko tu liczy się w dolarach, od moreli do mórg) — zacząć drugi, już nadziemny niejako, okres pracy: pracę organizowania.

— To był cały dramat!... — zwierzała mi się jedna z pań-pionierek. — O mało, że się nie rozwiodłam z moim mężem, raczej — mąż o mało nie rozwiodł się ze mną. Uważał ten mój cały Zaleszczycki plan za szaleństwo. „A nie wydołasz, a nie potrafisz, a pieniądze przepadną“... Jak to mężowie! No, a wkońcu, gdy już jako tako wybrnęłam i zaczęło się opłacać — inny dramat: że rzuciłam dom! — I prawda: musiałam tu siedzieć miesiącami i pilnować, bo i któżby pilnował? Teraz to jakoś już stoi. Ale wiele mi to zjadło sił, i zdrowia, i energii, ba! do tegobym się, zwłaszcza mężowi, nie przyznała napewno! Ale cóż? Żyjemy z pensji męża. Dziś jest, jutro niema. Dzieci już, dzięki Bogu,

odchowane, zresztą mają opiekę doskonałą. A ja mam jeszcze masę energii i nie chcę tylko dysponować obiady i chodzić na targ! Chcę coś stworzyć: i potrzebnego dla wszystkich, i coby przynosiło jakies dochody. I nie żałuję ani przez chwilę! Dopiero tego lata — to trzecie lato mojej emancypacji — mój pan i małżonek, będąc tu z dziećmi, raczył mi wyrazić aprobatę. I to, że słońce, i to, że Dniestr, i to, że owoce, i to, że wciąż to wszystko zrobiłam sama. Patrzy na mnie odtąd z pewną nieufnością, jak na kota, któryby się nagle okazał małym tygrysem, ale — już się nie rozwodzi. No, a Zaleszczyki mają jeden więcej pensjonat, co, nawiasem, nie jest wcale zadużo! Bo się uparłam, zacięłam się i powiedziałam: — Musi być!

I jest. Jest ileś tam pokoi, elektryczność, plaża, klomby, gruszki, leżaki, letniki. A, śmieszna rzecz: gdyby się owa czupurna kobietka nie była uparła i zacięła się, a z nią — jej kilka współtowarzyszek po fachu: pensjonatów w Zaleszczykach by nie było. Ot, prosto, nie byłoby i już! Leżąc nad Dniestrem teraz, w końcu września, w upał taki, że woda podczas kąpieli wydawała się, jak grzana rozważyłam sobie tę rzecz ze szczególną i — możnaby rzec — pełną podziwu wdzięcznością. Bo, pokazuje się, można stosami pisać o cudach jakiegoś zakątka klimatycznie, estetycznie, atmosferycznie i dietetycznie: a dokąd nie zjawi się jedna istota czynu, która zaryzykuje, uprze się, zatnie zęby i zacznie się porać z epopeją budowlano-dzierżawianą et caetera — dopóty tysiącom innych nie zakwitną na wiosnę i nie dojrzeją w lipcu morele, nie zaszumią dniestrzańskie szумы i nie opali na bronz skóry rozkoszne gorąco nadrumuńskiego, prawie już zagranicznego, słońca. I to właśnie kobiety, owe „mdłe białogłowy“ są temi, które gospodarują na ziemi obiecanej zaleszczyckiej, płynącej morelami i gruszkami, a zrzadka — popijanem na „zagranicznych“ wycieczkach rumuńskim winem. Żeby już nie wymienić, że i nestorką gospodarki kobiecej na tych terenach jest sama ich szczęśliwa, a energiczna posiadaczka p. bar. Turnau, niepodzielnie rządząca własnym rządem i wglądem machiną, o wiele przerastającą t. zw. niesłusznie „kobiece kompetencje“. Bo i, o Boże!.. Cóż dziś ze zjawisk życia przekraczać je może, skoro krok naprzód, zrobiony przez nasze stulecie, sam przekroczył wszelkie dotychczasowe miary! I czyż wiemy jeszcze, gdzie będzie jego kres?

W każdym razie, kobiety-pionierki, hallo! pamiętajcie, że rozbudowa kulturalna naszych uzdrowisk i letnisk krajowych — to cegiełka inicjatywy, ryzyka, pracy i kompetencji, dorzucona przez każdą z nas.



PEJZAŻ

Orzą woły, woły granatowe,
wiatr się potknął, wali się na głowę,
spłoszył pastuszkę i gęsi,
nożyskami w górze trzęsie.

Szarpią każdą ziemi grudę
skrzydła czarne, skrzydła rude,
kłębi się po polu chmura;
kto w niej — poznać po pazurach.

Zorzą woły, zabronują konie
całe rżysko po tej i tej stronie,
całe rżysko — precz do domu, gąskil!
— zorzą chwasty, piórka i gałązki.

Gęsiareczkę czeka trud niemały:
uciekł z wiatrem od niej gąsior biały.
Gdy się tuman piachu porozpryskał,
patrzy — para skrzydeł w górze błyska.

Długa podróż, wielkie trudy,
Skrzydła białe, czarne, rude,
pazurzyska, ostre dzioby...
...Ktoby tam gąsiora zdobył!!

MIŁOŚĆ

Przez dni jesiennych słodkie zamieranie,
przez dymy ognisk, jarzębin różaniec,
przez jaskółczane krótkie „dowidzenia“,
które wiatr wczoraj w ciepły deszcz pozmieniał —
proszę cię, święta i wieczna jesieni,
niech się już moje serce nie odmienia!

Przez liści tuman, co się w parku kręci,
przez szron na miejscach letnich sianożęci,
przez oddalenia i przez niepamięcie,
przez śmierć, co zawsze jest nie do pojęcia —
proszę Cię, wierna i boża służebno,
niech zginie serce, jeśli jest potrzebne!

Jeśli tak trzeba i jeśli nie żal ci
rozkwitu lata, skoś to, coś skazała
— czy kłos, czy owoc, czy kwiat niedojrzały —
wytnijcie ogród mój, a dom podpalcie!..
...Ale przez obietnice i przez wypełnienia,
przez lęk miłości i mękę rodzenia
zaklinam ciebie, o Święta Jesieni,
niech się już moje serce nie odmienia!



HERMINJA NAGLEROWA

3)

NIEPOTRZEBNE WZRUSZENIE

(nowela)

Działo się tak samo z siebie, że na progu domu Lucjan kurczył się do prawdziwej miary swojej postaci.

Tymczasem w domu stało się coś niebywałego. Młotki stuknęły, jak dzięcioły w lesie, meble ruszyły z miejsca i jeździły od pokoju do pokoju. Huragan przeciągów tłukł szyby, a kurze pomiotły się po sufitach, niby liście pierzastej palmy. Panie owiwały głowy chustkami i pięły się po drabinach, jak anioły Jakóbowe. Już w przedpokoju krzyczała Ewa:

— Prędko, prędko, do swojego pokoju! Proszę siedzieć cicho i nie przeszkadzać! Obiad tam panu podadzą!

W czterech ścianach pokoju trzeba było stłumić w sobie bunt i nawet spokojnie zastanowić się nad tem, co się tu wyprawia. Służąca objaśniła zresztą, że robi się porządku przed przyjazdem panicza. Oczywiście — porządku dla uczczenia marnotrawnego syna Smarkacza wraca do domu poprostu z niczem i powinien raczej dostać dwadzieścia pięć po sempiternie. A tu czyści się dom, jak stajnię Augjasza, i nawet panny — jakie tam są — tarzają się w brudzie i kurzu dla gagatka!

Trudno było dać sobie radę z całą tą sprawą. Hałas domowy docierał aż tu, do pokoju Lucjana, niby odgłos dalekiej burzy. I tak samo właśnie, jak przed burzą, stawało się niespokojnie w myślach, które nie umiały uchwycić wątku. Bo cichutko pluskał się żal, że tak właśnie jest. Że są: oczekiwania, przyjazdy, powitania, radości z powrotu. Obstępują, patrzą w oczy, mówią wprost — robi się ciasno od bliskich spojrzeń, ciepło od uścisków. Słowa kwitną, uśmiechy są, jak płomyki, wszystko odrazu się wie, wszystko pospólnie rozumie.

Przy napychaniu fajki drżały palce Lucjana, jakgdyby podrywane tem, z czem nie mogła sobie dać rady myśl. Stały się niespokojne, wzruszone. Potem tak samo zaniepokoiły się powieki, chwytając szybko — światło i cień. Światło i piekące ciepło. Wtedy właśnie zaszurały szczotki podedrzwiemi i łomotnęły o próg, jak gdyby ktoś gwałtownie i zuchwale dobijał się do tych niepojętych wzburzeń Lucjana. A przecież nie wolno mu nawet otworzyć drzwi, aby przynajmniej przypatrzeć się temu, co się tu tłucze po domu i jest pracowite, rozkrzywane wedle swojej ochoty.

Dnie wiosny przechodziły już ku latu w wietrze, kurzu i upale miejskim. Akacje na placyku przed szkołą były białe od kwiatów, a zato kasztan krył pod szeroką dłońią liści zielone kulki owocu. Lu-

cja liczył dni dwojako: — za dwa tygodnie kończą się zajęcia szkolne, a jutro, pojutrze przyjeżdża syn doktorowej. Jedno i drugie miało swoje znaczenie, niby rogatka dla jadącego gościńcem. Trzeba się przed nią na moment zatrzymać, choć nic się właściwie nie zmienia w kierunku drogi.

A jednak — śmiesznie się przyznać do tego — coś się właśnie odmieniło. Od wielu dni stawał Lucjan, jak skromny petent, przed doktorową i nieśmiało dopytywał: kiedy, o której godzinie przyjeżdża Edzio. Stało się to, niewiadomo dlaczego, ważne dla Lucjana. Nawet służącą zagabywał, żądając dokładnych informacji. Chciał wiedzieć, który pokój przygotowano dla panicza i czy w saloniku, gdzie wstawiono łóżko, będzie dość wygodnie. Wśród zajęć szkolnych weseliła się ubocznie myśl o przyjeździe Edzia i można sobie było wiele razy przepowiadać: co cię to obchodzi? — skoro radość szumiała, jak zielone, leśne powietrze.

Lucjan opowiadał nawet kolegom: — Oczekujemy w domu przyjazdu syna doktorowej. Przyjeżdża po dwóch latach nieobecności. O, tak! ma tam naprawdę miły stosunek do całego domu; czuje się, jakby w rodzinie.

Dobrze było pochwalić się i cośkolwiek mówić o tem, co się burzyło wzruszeniem. A zresztą, czy nie oczekiwał Edzia tak samo, jak cały dom? Uczestniczył w pospólnym nastroju, czy ktoś tam chciał, czy nie chciał.

Gdy w czasie obiadu panie mówiły już o swoich sprawach, niecierpliwił się:

— Dlaczego ani słowa o Edziu? Przecież lada dzień przyjeżdża, a one, jakby już nie myślały o tem!

Ale ostatecznie zawsze doktorowa naprowadzała rozmowę na temat przyjazdu Edzia.

— Dziś wieczór wyjeżdża z Paryża, a pojutrze rano będzie już w domu.

Zrobił się wesoły rumor, bo wszystkie trzy mówiły jedna przez drugą. Trzeba było dobrze nastawić uszu, aby dorozumieć się, o co chodzi. Nie było jeszcze pewne, czy Edzio nie zatrzyma się u stryja w Berlinie, albo u kuzynów w Poznańskim.

— Więc, jak? Kiedy? — wzburzał się w sobie Lucjan i uspokoił się dopiero, gdy doktorowa powiedziała:

— Chyba trochę zatęsknił do mnie po dwóch latach.

W parę dni, gdy Lucjan wrócił ze szkoły, potknął się w przedpokoju o walizkę, a służąca zasyczała przy samym uchu:

— Panicz przyjechał! Śpi...

Wtedy przez chwilę nie można się było na nic zdecydować: czy umyć ręce, czy zapalić fajkę, czy przebrać się w porządniejszy garnitur, albo może tylko zmienić kołnierz i krawat? Cisza, panująca w domu, była odświętna, tak właśnie, jakby zielonoświąteczna. W pokoju Ewy ledwie coś szeleściło, szmerzało, niby zielona gałąź, albo szuwar, którym przystrajano dom w te święta. Więc też można było słyszeć własny oddech i płoszyć się własnym niepokojem.

— Przyjechał, nareszcie przyjechał!

A potem wszystko ułożyło się nad podziw dobrze. Edzio był miły i uprzejmy dla każdego z osobna i dla wszystkich porównano. Zwracał się wprost do Lucjana, patrząc mu w oczy, a gdy opowiadał o cudownościach Paryża, albo o wycieczce do Algieru, każdy przy stole otrzymywał parę zdań, niby tylko dla niego przeznaczonych. Uśmiechnięte siwe oczy Edzia wędrowały od twarzy do twarzy, więc Lucjan mógł czasem widzieć cały owal i oba trójkąty czoła pod gładką czapczką jasnych włosów, a czasem świetny profil pięknego młodzieńca. Można też było stwierdzić, że bary były w sam raz równe, jakby wystrychowane, a pod rękawem napinały się mięśnie kamiennej grudki. Edzio górował przy stole, przerastając nawet matkę, która zresztą i tak patrzyła na syna, niby na niebotyczny szczyt.

Lucjan ledwie miał czas i ochotę, aby spojrzeć na współbiedniczkę. Przelotnie dojrzał rozumne czoło Felicji, przytakujące wywodom młodzieńca, i na chwilę stropił się blaskiem oczu Ewy. Nigdy nic podobnego nie widział w ludzkich oczach! Ale, do-

prawdy, niewarto było zastanawiać się nad tem, skoro dziś właśnie te panie są nieważne, jakby niedostrzeżone, a z Edziem nawiązał się bezpośredni kontakt. Toczył się, bowiem, dialog o, Bóg wie, jakich zagadnieniach. Poważne zdania sunęły gładko, jakby naoliwione mądrością męskiej myśli. Edzio zapalił się do jakiejś idei politycznej i reformował świat od podstaw. Lucjan natomiast przeciwstawiał swoje racje, uzbrojone w wiedzę historyczną. Nie mogli dojść do porozumienia podczas obiadu, więc jeszcze w pokoju Lucjana kończyli dyskusję, paląc francuskie papierosy.

Było syto od tych rozmów i zapełniał się niemi wolny czas, jak kosz owocami. Więc też Lucjan, wychodząc ze szkoły, śpieszył się teraz do domu. Już nie przystawał, aby popatrzeć na świeżo skoszony trawnik i za nic miał sobie zapach siana, parujący ze zgarniętego kopczyka. Należało nawet poniechać emocjonującej walki z tłokiem ulicy, aby dorożką corychlej pośpieszać do domu. Koń wyczłapywał więc jamby po asfalcie, po kostce bruku, a tymczasem układało się jakiś ciekawy pogląd na kwestję demokracji i parlamentaryzmu, aby potem omówić to z Edziem. Już przed obiadem zaczęli dyskusję i trzymali się razem wobec milczenia pań. Teraz, gdy Felicja próbowała klinem wcisnąć się do rozmowy, coś tam eksplikując swojego w sprawach polityki (jako, że znała się na tem!), Lucjan niweczył ją lekceważącym gestem, albo wogóle nie brano pod uwagę jej wścibstwa. Grzeczność Edzia dla pań stała się pobieżna; ledwie pamiętał, że trzeba podać sos, czy sałatę sąsiadce! Matka burczała niby:

— Edziu, jesteś nieuważny! panna Ewa prosi cię o sól.



MARJA STAGIENSKA

C I E Ń

Stało się to pewnego popołudnia.

Poobiednie godziny — to część dnia, najbardziej odpowiednia do rozmyślań. Ciało przetrawia mieszczański obiad, złożony z paru dań i deseru; dusza — zdobywa się na proces trawienia wrażeń, od porannego pacierza do filisterskiego „nur ein Viertelstündchen“.

Poobiedzie jest słusznie rzeczownikiem rodzaju nijakiego: niezdecydowana pora o świetle niezdecydowanym; jedna trzecia częstokroć nudnej całości.

Nie jest ogniwem, co splata nadzieję poranka z wypocznieniem wieczoru; to nudny „passage“ o dźwiękach mdłych i usypiających.

Godzina trzecia: początek zmierzchu w zimie, plusk deszczu w rynnach i rytmiczne uderzenia kropeł o tafle szklane w jesieni; niepewny, zimny blask słońca w zaraniu wiosny; mętna powódź promieni w lecie.

A nad temi godzinami, wyrwanymi z roku życia duszy cierpiącej, która stula szczelnie swe płatki, jak

kwiat w dzień słotny w dreszczu niewysłowionego znużenia — króluje smutek.

Pocałunek, w jednej z tych godzin oddany lub przyjęty, bywa leniwie zmysłowym, czemś w rodzaju nadatku. Rosą niebieską spływa do dusz w błękie poranka, w ciszy fioletowego zmierzchu.

Ale poobiedni—przylega do ciała, jak brud, jak plama. Nie z przepełnionego serca, raczej... z żołądka, wydętego przesytem, płynie...

Praca, w tej godzinie podjęta, żółwym ruchem postępuje. Wolny duch wtedy nie pręży się do czynu: niepewny staje na krawędzi działania.

Z odrętwienia budzi się dopiero po miarowym uderzeniu zegara. Wtedy kładzie krzepką dłoń na pulsie życia: jest znowu sobą. Poobiednia godzina była dlań jedynie orzeźwiającym źródłem w mozołe dnia.

Jest znowu sobą.

* * *

A więc stało się to pewnego popołudnia.

Nieznany reżyser, kierujący sprawami dnia, niesłychanie sprawny a sprytny, dał do obrazu tło następujące: kamienny taras z widokiem na park angielski, gdzie oko gubi się i wypoczywa jednocześnie; soczysty koloryt bezchmurnego nieba po dniu upalnym; słodki, głaszczący nozdrza zapach kwiatów; ciszę błogosławioną, jakby wsłuchaną w Nieskończoność; ciszę, która najczęściej poprzedza burzliwy akord wydarzeń życiowych, i — nas dwoje w trzcinowych fotelach: Alfa i mnie, przegrodzonych milczeniem.

Milczymy od pewnego czasu chętnie i często.

Przestały spełniać się w nas owe tajemnice mistyczne, wobec których dusza pokornieje i korzy się w dziękczynnym zadziwieniu; staliśmy się pozornie dwiema pięknie wymodelowanymi bryłami zimnych, zrównoważonych ciał.

Książka z rąk Alfa zsunęła się na płyty tarasu.

Przetarł szkła binokli, przeciągnął się i spytał:

— Jak spędziłaś czas przed południem?

Nie dałam natychmiast odpowiedzi. Moje oczy, zagubione w dalekościach parku, leniwie i jakby z żalem odeszły od jaskrawej zieleni łąk i krzewów.

— Ach, nic szczególnego: kąpiel, masaż, wypoczynek, jak zwykle, jak codzień.

Przeciągnął się po raz drugi i rzekł:

— Tak. Jednostajność. To zgodne z twoją naturą, Marto! Ale... czy nie uderza cię nic w mej postaci?

Pytanie było niezwykle, a jednak bezpieczne, jak cisza tych godzin popołudniowych. Spojrzałam. Miał właściwy sobie wyraz twarzy natur, sumujących wewnętrznie szereg wydarzeń dnia.

— Masz obuwie zakurzone.

— No, tak! Spędziłem kilka godzin za miastem... z... Ireną de Nel.

Ach, pięknie wymodelowana bryła mego zrównoważonego ciała! Ustami białymi, jak kwiat akacji,

lecz urabiając się zewnętrznie na modłę doskonałego marmuru, pytam:

— Wróciła? — i zatapiam igłę w tkaninie haftu, niby w sercu żywego człowieka.

— Od miesiąca... Widujemy się codziennie. Poprzednio trwała między nami żywa wymiana zdań... listowna, bo przecież...

Urwał. A dla mnie cisza wypełniła się nagle łoskotem drewnianych młotów, uderzających w rdzeń życia. Przyszło osłupienie wobec nieszczęścia, spotęgowane brakiem przygotowania się do faktu.

— Co ci jest? Przestań szyc: to mnie drażni!

— Alez...

— Daj mi dokończyć. Wogóle... Powinna byłaś zauważyć oddawna...

Rzucił książkę z hałasem. Zerwał się z fotela. Szybko, nerwowo, w głuchem rozdrażnieniu, począł przemierzać taras.

Wreszcie stanął.

— Oddawna już nie istniejesz dla mnie. A może nie istniałaś nigdy?... Poprosto, przytłoczyła mnie fala twego uwielbienia, jakiejś pokornej uległości... czy ja wiem? Tak... niewolniczej pokory... Zczasem stało mi się to wstrętnem!

Z krzaka osypał się puch przekwitających róż. Odczułam bolesne ich odejście pełnią własnego bólu. Stałam się duszą cierpiącej przyrody.

Ruszył ku mnie.

— A przecież jesteś piękna. Jednak nie pragnę ciebie.

Cisza.

Jest wielka ulga w natychmiastowym spełnieniu się rzeczy nieodzownej. Czekanie — wyprężenie: ciężki ducha w kierunku Nieznanego. Myśl kładzie po sobie skrzydła, jak ptak, pewny śmiertelnego postrzału. Zabezpieczyłam źrenice powiekami, a gdy odeszły z nich wgląd duszy lży okrutnego cierpienia, rzuciłam nań spojrzenie, kamieniejące w dumnym męstwie.

— Wszystko?

— Nie. Muszę się wypowiedzieć. Dlaczego nienawidzę ciebie? Tak jest... nienawidzę chwilami! Powiem ci to brutalnie: jesteś zanadto—duszą. Idzie od ciebie jakiś cichy, przygniatający nakaz. Tak określe ciebie: uległość, wyniosła czystość i psie, pokorne do mnie przywiązanie. Ach!

Szarpnął węzeł krawata.

— Widzisz, to wynik twej miłości. Nie, nie odchodź!.. Tak, naturalnie, pozostaniesz i będziesz słuchała cierpliwie, ulegle, poddańczo, jak znieważa cię każdym słowem i spojrzeniem mężczyzna, gardzący twojem uczuciem.

No, cisnij we mnie czemkolwiek... chociażby tą robotą, którą trzymasz w zeszywniałych rękach!

Milczenie wobec nieszczęścia jest najdoskonalszym sposobem jego uczczenia. Nieszczęście i cierpienie są wymowne same przez się — myślałam.

Nie każdy potrafi patrzeć na słońce bez zmruczenia powiek, ale każdy, a zwłaszcza każda powinna umieć spojrzeć bez dreszczu na klęskę najdroższych marzeń. Albowiem nie to jest najważniejszym w życiu.

Wstałam, wyprostowałam członki, skostniałe w męce. Wzięłam na ramiona klęskę przeżytej godziny. Cierpienie powoli zespałało się ze mną, już nawet udarowało pewnym spokojem.

— Więc? — powtórzył. — Teraz pójdziesz wypłakać się w samotności, a za godzinę... wrócisz może do mych stóp? Nie, nie pragnę twej miłosnej opieki, twej zabiegliwości i wyrozumiałego uśmiechu! Ja chcę...

Odgarnęłam go ręką łagodnie, lecz stanowczo, niby rzecz zbędną, lichą, a natrętą, i bez słowa odpowiedzi, powoli zesłam z tarasu.

* * *

Szczęśliw ten, czyja dusza staje się w pewnej chwili sadzawką, lekko trąconą skrzydłem anioła. Z drętwego osłupienia wstaje rzucona w odmęt dziwnych potęg, co każą wyczuwać najbliższy dreszcz wszechświata, najcichszy, zda się, jęk rodzącej ziemi, najbardziej tajemne tchnienie udręczonej piersi bliźniego. Drga, płomienieje osobliwa strażniczka swoich i cudzych tajemnic. Osiąga zdolność najwyższego lotu, jakoteż—najtragiczniejszych upadków.

Niemasz dla niej wtedy rzeczy martwych. Potrafi ożywić je swym spojrzeniem wewnętrznym, bardziej przenikliwym, niż wzrok cielesny, mądrym — mądrością zaświatów i czujnym, jak dzwon na łasce powietrznej fali.

Ból bywa skrzydłem anioła, poruszającym uśpioną powierzchnię duszy.

Nadeszła właściwa godzina.

Dusza dojrzała do cierpienia, do świadomego nawrotu z dróg, wydeptanych przyzwyczajeniem codzienności, mocna i hartowna, jak stal, znaczone ostatniem uderzeniem, iść musi ku przeznaczeniu.

* * *

Mglisty świt, otulony kłębam chmur, zabiegł drogę nocy. Zwierając ciemne loty, uchodziła ze szlaków, na które nieśmiało wstępował dzień.

A jednak urastała widzialnie jego moc, czerpana z głębin słońca, z rączych promieni, co wkrótce spłynąć miały na ziemię, niby ogniste rzeki. Szarość świata, modra miejscami, nasiąkała gorętszą barwą. A wraz z ustępowaniem pospolitej szarości wzmagał się, do snu podobny, czar świtania.

Złote różgi strzeliły nagle raketami żywego ognia. Strzępy mgły, pędzone żagwiami rozświtu, wzbily się w powietrze i stopniały w bezmiarze.

Tak poczynało się jutro nowego bytu.

Miałam już dość mocy, by spoglądać bez łez na nieobludne piękno ziemi...

Skrzypnęły drzwi sypialni.

— Czy wolno? Pukałem i nie było odpowiedzi. Stał w pewnej odległości, zmieszany, cichy już, lecz nieukoiony. Dwie plamy światła zadrgały mu na oczach, zmęczonych bezsennością, i pogłębiły ich czar, dla mnie zakazany.

Wyciągnął rękę.

— Przebacz, Marto! Byłem brutalny i niesprawiedliwy. Czy możesz... czy będziesz mogła przebaczyć?

A wtedy uśmiechnęłam się poraz pierwszy cieniem uśmiechu, co bywa niekiedy pieczęcią bólu na ustach.

— Chodź tu, malutki!

Splószył się. Tak. Pocałunkiem było to zapomniane słowo, łagodnym opłotem rąk dokoła jego młodej postaci.

— Nie lękaj się. To nie miłosna godzina. Po-wiem rzecz nieodzowną, ale tu, w słońcu.

Nie opierał się. Splotłam ręce z jego dłońmi, z których nie spłynął na mnie potok ognistych błyskawic, bowiem oddawały „tamtej“ czarowną potęgę swej męskości. Ale, rzecz osobliwa: dusze nasze znów były blisko, jak dwa kwiaty, rosnące nad jedną wodą, nagle pochylone ku sobie oddechem wiatru i w zadziwieniu oglądające swe odbicia w jasnym zwierciadle fali, tuż obok siebie.

Sercem w jego sercu spytałam:

— Kochasz Irenę?

Błada twarz Alfa rozkwitła czarodziejsko od fali żywej krwi. Był—pieśnią o miłosnem jutrze. Ciche, szczęsne oczy spojrzały na mnie pokornie, chłopięco.

Wiosna była w tem spojrzeniu, nieprzeżyta jeszcze, raczej przeczuwana wiosna upojenia.

— Tak — westchnęłam. — Ach... tak! Jesteś... wolny!

Wtedy stał się cud.

Ciało Alfa podało się nagle wtył; ręce zaplotły się w miążdzącym uścisku dokoła moich dłoni; zastylł w dziwnie pięknym odruchu potężnego szczęścia, co przytłacza pierś swym ogromem. Twarz, zrazu prześwietlona zdumieniem, dojrzała w ciągu sekundy do wyrazu, którego niesposób byłoby oddać słowami, a pociągającego, jak głębia odmętów.

Krzepnącem sercem odczułam, że nie masz dlań nawrotu ku mnie od brzegów nowego szczęścia, wy-czarowanego w wyobraźni, jak niema nawrotu dla spienionej fali, co dąży ku zachłannym objęciom morza.

Niekażdy potrafi patrzeć na słońce bez zmruczenia powiek, ale każda z nas powinna umieć spojrzeć bez dreszczu na klęskę najdroższych marzeń. Albowiem nie to jest najważniejszym — myślałam,

Powtórzyłam:

— Jesteś wolny! — i... wypuściłam z moich dłoni te ręce, już nie moje.



Dążono śladami Zachodu, urządzając parki ze świątyniami Sybilli...

ZYGMUNT KNOTHE.

OGRODY I PARKI W POLSCE

Od szosy lub traktu dawnego w bok prowadziła aleja lip, kasztanów, czy świerków. Potem biała brama, z małą stróżówką, często używaną na skład ogrodniczych narzędzi, i wjeżdżało się do parku. Aleja zataczała wielki krąg wkoło zielonego gazonu. Brzegiem stały samotne świerki, dumne i wyniosłe, zaś z boków cisnęły się, jakby patrząc ciekawie na przybysza, stłoczone masy klonów, brzostów, lip, brzoź, topoli, dołem gęsto podszyte bzami, leszczyną, spirreami. Zaś w głębi mocno osiadły trwał on, biały dwór pod wysokim, ciemnym dachem, trójkątny tympanon wsparłszy na czterech białych kolumnach, spowitych

zwojami dzikiego wina. Oknami weneckimi wciągał do wnętrza woń bzów, jaśminów, sztamowych róż i niskich szpalerów kwiatowych.

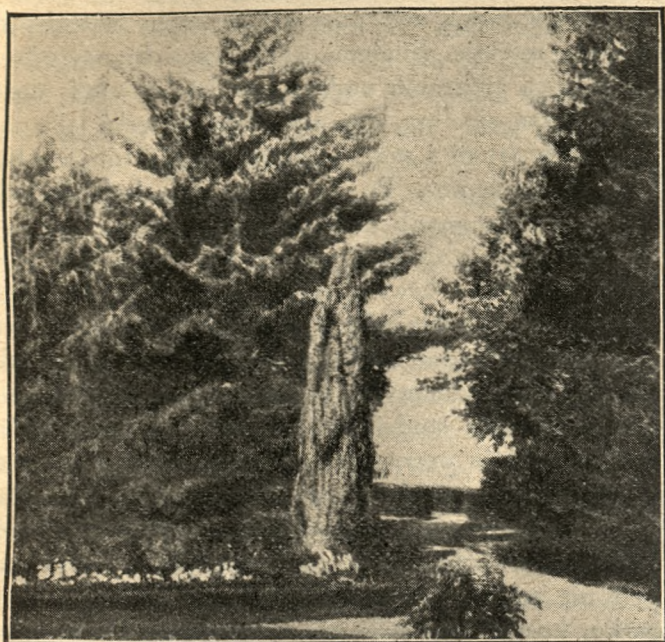
Z drugiej strony domu, gdy teren nie spadał tarasami ku tafli jeziora, stawów, czy rzeki, gdy się nie otwierała odległa perspektywa pól, łąk i lasów, znajdował się wirydarzyk, czasem przylegający do bocznego skrzydła, zawsze od południa. Z trzech stron osłonięty zieloną ścianą rozrosłych bzów, od północy zakryty domem, stwarzał zaciszny, mały ogródek, w którym babki i prababki hodowały ulubione kwiatki i zioła, w misterne klombiki ujęte, podzielone



Dworek polski wziął sobie z Empiru, na własność ganek na kolumnach...



Takich parków zachowało się wiele — z dobranemi w odcieniu liśćmi drzew nad sadzawką...



Brzegiem stały świerki dumne i wyniosłe, z boków cisnęły się stłoczone masy klonów, lip...

na wdzięczne kółka, księżyce i różki, serca i gwiazdy, poprzedzielane ścieżynami, żwirem lub cegłą tłuczoną wysypanemi.

Czyż to nie echo renesansowego ogrodu, przez praszczura widzianego w Italji, lub choćby w kopji na dworze którego z potężnych panów?

Owe aleje wjazdowe, do skromnych nawet dworców prowadzące, że nie wspomnę o drodze królewskiej, od puławskiego zamku Czartoryskich dwanaście mil w prostej linii wyciągniętej ongi,—czyż owe aleje, to nie ślady osiowych założeń włoskich i francuskich z XVII wieku?

Widzieli nasi możnowładcy niejedną pyszną rezydencję na obczyźnie i chętnie u siebie podobne urządzali; a za nimi szlachecka brać starała się i sobie w miarę możności coś z tych świetności przywłaszczyć. Lśniły przepychem w XVIII wieku ogrody Kazmierza Poniatowskiego na Solcu warszawskim, Powązki księżny Czartoryskiej i wiele innych. Nic dziś z nich nie pozostało. Przy magnackich rezydencjach i dworach ziemiańskich najwięcej mamy parków z początku XIX wieku, romantycznemi zwanymi.

Ze spuścizny po baroku zachowano jedynie wjazdowe drogi i parę szpalerów cienistych, w prostej linii wyciągniętych.

Dażono śladami Zachodu, urządzając angielskie parki, ze świątyniami Sybilli, z greckim domkiem, z fermą, chińskim pawilonem, z basztą w ruinie. Ustawiano pomniki ulubionym przyjaciółom czworonogim lub skrzydlatym; kładziono głazy z napisem wzniosłym i czułym, sadzono nad nimi wierzbę lub brzozę płaczącą, samotną sosnę, czy świerk. Przerzucano przez wąwozy i strumienie mostki z lwami na cokółkach; ustawiano w półkole kolumnadę z odbitym gzymsem.

Takich parków zachowało się bardzo wiele. Z dobranemi ślicznie w odcieniu liści drzewami, zgrupowanemi nad sadzawką, czy rozległym trawnikiem, otwartemi rozległemi perspektywami na okolicę

Lecz jednocześnie powstawało moc ogrodów przy skromnych względnie siedzibach, gdzie nie było zbyt wiele ziemi, którąby można pod piękny, lecz bezużyteczny park przeznaczyć. Dworek polski wziął sobie z Empiru na własność ganek na kolumnach z tympanonem. Wziął aleję wjazdową i chciał mieć park. Wytknięto prostą, szeroką aleję, wysadzono ją lipami, a po bokach dano kwatery drzew owocowych. Od zachodu, północy i wschodu obsadzono je rzędami lip, czasem świerków. Miało się i aleje spacerowe i sad pożyteczny. Minęło stulecie. Wyrosły zielone tunele, ściany osłaniające od wichrów, wonne w porze kwitnienia. Trzeba było zmieniać spróchniałe jabłonie i grusze, a lipy były wciąż młode i wspaniałe. Takich ogrodów było i jest moc.

Zwykle aleja prowadzi do placu przed ganikiem, albo zatacza krąg, jak to wspomniałem na początku. Przed dworem leży część dekoracyjna. Gęste



Od traktu w bok prowadziła aleja kasztanów...

zarośla i drzewa kryją położony obok dziedziniec folwarczny. W krzakach bzu tonie mała oficynka, czasem dwie, z pokojami kawalerskimi i kancelarją. Z przed domu otwiera się widok na drogę wjazdową i szpaler, poprzez sad biegnący, przy brzegu podszyty krzewami. Z drugiej strony mamy zaciszny zakątek kwiatowy, czasem drugą werandę, a nierzadko rozległy widok i tarasowy ogród, spadający ku dołowi.

Piękny był dawny zwyczaj obsadzania folwarków drzewami. Dawały one cień latem, a w czasie zimowych zadynek i wichur służyły, jako osłona. Ostatnia wojna przetrzebiła drzewostan polski. Jako punkty obserwacyjne wykorzystane, a potem ścięte, by nie mogły służyć do tego samego wrogowi, padły wyniosłe topole i lipy. Przy ogniu huraganowym, podczas pożaru dworu i folwarku, spłonęły i uschły stare olbrzymy. Tembardziej powinno się pielęgnować pozostałe okazy.

Nie znam nic piękniejszego nad taki wielki, stary, trochę zapuszczony, bezpretensjonalny wiejski ogród. W porze kwitnienia bzów i jaśminów, a potem akacyj i lip, gdy pełen jest zapachu, świegotu ptactwa i słońca...

Gdy nocą księżycową słowiki wywodzą trele, a kwiaty wydają woń upajającą...

A gdy przyjdą wietrzne dni, rozszumią się stare drzewa, zaczną mówić niekończącą się opowieść o tem, co było...

Rozwiewają swe puszyste czupryny wierzby nad stawem, miotają długimi warkoczami brzozy płaczące, migocą srebrnym podszyciem liście topoli, dostojnie kołyszą się lipy, dumnie chylą świerki.

Park szumi i gada, nagadać się nie może w burzliwą, wietrzną noc. Bo ogrody polskie były świadkami scen, nieznanych może innym parkom.

Bo polskie drzewa wysłuchały tyle jęków i modłów, tyle łez i krwi wsiąkło u ich stóp, że inaczej dziś szumią,—poważniej i smutniej od innych drzew.

Znałem jeden park, a ileż takich po polskiej ziemi jest rozrzuconych! gdzie w cieniu starych jesionów była mała studzienka, zakryta krzewami kaliny. Nikt nigdy nie czerpał z niej wody, patrzyła w niebo spleśniała powierzchnia, w kwadracie spróchniałych belek... W pewną noc jesienną, w 63 roku, dwóch ludzi zatopiło tam broń po wybitych towarzyszach, byle nie oddać jej wrogowi. Też noc, w tymże parku, kozacy roznieśli ich na szablach, ale broni nie znaleziono. Poległym usypano w wiele lat później mały kopczyk w parku i położono głaz z wrytym krzyżem, gdyż imiona były nieznanne...

Szumia stare drzewa, jak szumiały w 1812, 31, 63, 914 roku. Wychowywały się w ich cieniu pokolenia, dojrzewały, szły na walkę i rzadko wracały po wielu latach. Więcej było smutku i czekania, niż wesela i radości.

Szumia stare drzewa polskiego ogrodu...

CZTERDZIESTOLECIE ZASŁUŻONEJ PRACY



Leonja Rudzka

W najtrudniejszych i najgroźniejszych dla ducha polskiego czasach, bo w roku 1887 — młoda i energiczna pracowniczka pani Leonja Rudzka podjęła trud prowadzenia szkoły dla dziewcząt.

Były to czasy Apuchtina — czasy wyplenia polskości ze szkół — czasy największego rusyfikowania młodzieży polskiej. Szkoły więc musiały dbać nie tylko o rozwój umysłowy dziewcząt, ale

przedewszystkiem o budzenie ducha narodowego, o spotęgowanie uczucia patriotycznego w duszach młodocianych, o zahartowanie sił i woli, „aby trwać i przetrwać“.

Taką to walkę o polskość ducha prowadzi przełożona p. L. Rudzka od chwili objęcia szkoły do czasu odzyskania niepodległości przez Najjaśniejszą Rzeczpospolitą.

Nie zważając na własne niebezpieczeństwo — sama organizuje wszystko — szkoła Jej gromadzi najwybitniejsze siły profesorskie z historii i literatury polskiej, a w godzinach lekcyj — gdy w wielu klasach zamiast rysunków i robót odbywają się nadprogramowe wykłady polskiego, historii lub geografii Polski, gdy wszystkie przedmioty wykładane są po polsku — przełożona czuwa nad bezpieczeństwem szkoły, nie myśląc o sobie. Tajemny dzwonek u drzwi wejściowych, naciskany przez wiernego sługę wraz z wejściem inspektora moskiewskiego — alarmuje całą pensję. Przełożona — jak zawsze, na stanowisku — spokojna i pełna godności, oprowadza po klasach niepożądanego gościa. Bładość tylko Jej twarzy wskazuje, jak ważną jest ta chwila w życiu szkoły, jak od niej los szkoły, uczących i dzieci jest zależny.

Szkoła, postawiona na wysokim poziomie naukowym, trwała, prowadząc robotę ideową, wychowując coraz to nowe pokolenia uświadomionych kobiet,

zdolnych do walki o niepodległość kraju, do pracy twórczej, zarówno naukowej, jak społecznej.

Przez cały czas wojny p. Rudzka nie ustaje w pracy, nie zmienia jej kierunku. Okupacja niemiecka zastaje ją w pełni sił i działalności. Jako delegatka przełożonych szkół żeńskich, wchodzi do Wydziału Oświecenia, zorganizowanego podczas okupacji, i Jej to staraniom zawdzięczają szkoły żeńskie prawo otwarcia 8-ej klasy. Sama przekształca też swoją szkołę na 8-mioklasowe gimnazjum.

Od chwili objęcia szkoły, p. Rudzka wszystkie swe wolne chwile poświęca studjom. Na wakacje i święta wyjeżdża zagranicę, zwiedza szkoły, zapoznaje się z nowymi metodami nauczania; bada szkolnictwo Paryża, Oksfordu, Wiednia i krajów Skandynawskich; bierze udział w licznych zjazdach pedagogicznych. Jest jedną z nielicznych przełożonych, które brały udział w zeszłym roku w zjeździe Nowej Szkoły w Locarno, i nosi się z myślą założenia takiej szkoły pod Warszawą.

Odzyskanie niepodległości zastaje p. Rudzką na posterunku. Wybrana na Przewodniczącą Koła Przełożonych Szkół Żeńskich, pracuje intensywnie i z wielką korzyścią dla młodego, ale potężnie rozwijającego się szkolnictwa polskiego.

Rząd Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, w uznaniu wielkich zasług, obdarza p. Rudzką orderem Polonia Restituta.

Spółceństwo polskie — szczególnie liczne szeregi kobiet, którym dane było być Jej uczenicami — oddaje hołd i cześć Jej pracy i otacza serdeczną miłością Tę, która potrafiła być ukochaną Przewodniczką matek i córek.

WYSTAWA BERLIŃSKA „ODŻYWIANIE“

Myśl urządzenia wystawy, poświęconej zagadnieniom żywnościowym, wyszła przed rokiem z kół naukowych niemieckich, uzyskała jednak szybko poparcie kół rządowych. I tak Ministerstwa Rzeszy: spraw wewnętrznych i dla spraw rolniczych i żywnościowych, pruskie Ministerstwo rolnictwa domen i lasów, pruskie Ministerstwo opieki społecznej, państwowy urząd zdrowia, główny urząd zdrowia miasta Berlina — udzieliły swej wydatnej pomocy, nie licząc całego szeregu innych instytucyj. Pozatem ofiarowało swą współpracę Drezdeńskie Muzeum higieny i przyczyniło się wybitnie do naukowego pogłębienia wystawy. Znaczenie jej jest istotnie pierwszorzędnej wagi, tak ze względu na ilość wszechstronnie i skrupulatnie zgromadzonego materiału, jak i na ważność celu propagandowego, któremu miała służyć.

Komitet, zarządzający wystawę, zaznaczył, iż bodaj poraz pierwszy przystąpiono do realizacji wysta-

wowego przedsięwzięcia z zamierzeniami czysto ideowymi, w chęci służenia zagadnieniom społeczno-gospodarczym.

Oдноsne czynniki, tak rządowe, jak i społeczne, zdawały sobie sprawę, iż problemy powyższe, dotyczące się wyżywienia ludności, stoją w Niemczech od czasu wojny na czele wszystkich narodowych, naukowych i gospodarczych zagadnień. Ciężkie doświadczenia wojenne nauczyły, czym jest głód i do jakich spustoszeń prowadzi niedożywianie ludności. Naukowe dociekania w tej dziedzinie wykazały dalej, że równie groźnym jest jednostronne odżywianie, jak i zbytne przekarmianie. Jedno i drugie prowadzi do ciężkich niedomagań i zmniejszenia lub zaniku sił twórczych człowieka; jest zatem groźne dla przyszłości narodu. Szerokie warstwy ludności, nieobeznane z wynikami badań i nieuświadomione, co do elementarnych zasad racjonalnego odżywiania, popełniają kardynalne błędy, odżywiają się źle, ponosząc przez złe wykorzystanie żywności nieobliczalne straty na zdrowiu i mieniu.

Myślą przewodnią organizatorów wystawy było zebrać najnowsze wyniki naukowe i dostarczyć, w możliwie popularny sposób, przejrzyste ugrupowany materiał, obejmujący całokształt nauki odżywiania. Chodziło im o uzmysłowienie, jak powinien się człowiek odżywiać, by z punktu widzenia zdrowotnego i gospodarczego wyszło mu to na dobre. Jak wiadomo, w Niemczech kwestja odżywiania łączy się bardzo ściśle z brakiem samowystarczalności gospodarczej i dążeniem, by ją wszelkimi siłami uzyskać. Wychodząc z założenia, że rolnictwo i jego gałęzie pokrewne staną się przez uintensywnienie gospodarki zdolne do zaspokojenia wewnętrznego rynku daleko bardziej, niż dzisiaj — czynniki miarodajne wykazują na wystawie wzajemną zależność konsumenta od wytwórcy. Rolnik dowiaduje się o wymaganiach rynku spożywczego, do których dostosować się winien; a konsumenta musi ożywiać świadomość, że własny kraj w coraz większej mierze potrzebuje jego zaspokajac będzie, i że od tego zawisł dobrobyt i niezależność narodu. W r. 1927 sprowadziły Niemcy z zagranicy żywności za cztery miljardy marek — stan ten musi ulec zmianie, by gospodarka własna podnieść się mogła.

W myśl powyższych założeń, wystawa pragnie pobudzić uwagę lekarza, higienisty, polityka, urzędnika administracyjnego, rolnika, nauczyciela, przemysłowca, kupca, gospodyni, — całego narodu niemieckiego. Pragnie pouczyć ich, że kwestja wyżywienia jest kwestją istnienia narodu i niezbędnym warunkiem jego politycznego i gospodarczego rozkwitu. Do kobiet-gospodyń zwrócony został uporczywy apel, jako do tych, które, zarządzając 10 milionami niemieckich gospodarstw, obracają rocznie 30 miliardami majątku narodowego. Zwiedzając wystawę, pouczane są na każdym kroku o swem zadaniu, jako żywicielki ro-

dzin. Dowiadują się, że tylko kobieta, która umie celowo i oszczędnie wybierać i przyrządzać produkty krajowe i zagraniczne, działa na pożytek nie tylko swój własny i swej rodziny, ale i całego narodu.

Wystawa, zakrojona na wielką skalę, odpowiedziała bardzo szeroko ujętym zamierzeniom i jest niezmiernie zajmująca nie tylko dla specjalistów, ale, dzięki swej popularyzacyjnej tendencji, i dla szerokich warstw zwiedzających.

Pomieszczenie znalazła wystawa na Kajzerdamie w trzech wielkich halach wystawowych, do których dobudowano czwartą, za cenę miliona marek. Bogato nagromadzony materiał rozmieszczony został w ten sposób, że pawilon pierwszy, najobszerniejszy — „Wissenschaft“ — obejmuje kwestję odżywiania z punktu widzenia naukowego; pawilon drugi — „Technik“ — przedstawia wytwórczość środków żywności, a pawilon trzeci — „Halle der Hausfrau“ — odżywianie w praktyce. Nakoniec osobny pawilon poświęcony jest znaczeniu mleka, jako środka żywności szerokich warstw ludowych, jego produkcji, przetworom, etc.

W hali I, cały szereg sal i pokazów — to ekspozyty dreźnieńskiego Muzeum higienicznego, które w sposób naukowy i z czysto rzeczowego punktu widzenia przedstawiło szereg ugrupowań, tyjących się istoty racjonalnej pielęgnacji zdrowia. W grupie tej, zatytułowanej: „Człowiek i jego odżywianie“, przedstawione są w preparatach i na tablicach organy ludzkiego ciała, system nerwowy, budowa kostna, krążenie krwi, działalność serca, jakoteż funkcje oddechowe, trawienia, podstawy przemiany materji etc. Dalej skład środków żywności, ich własności odżywcze, racjonalne przyrządzanie ich, zawartość kaloryczna, witaminowa, — wogóle cała higiena odżywiania. Na tablicach statystycznych wykazano znacznie większą śmiertelność ludzi tęgich, tłustych, zbyt dobrze odżywionych. Cały szereg chorób jest skutkiem tylko nadmiernego przyjmowania pokarmów. Naprzykład, ilości wypadków cukrzycy zmniejszają się znacznie podczas wojny, w czasie ograniczonych racyj żywnościowych. W Danji od r. 1916, odkąd panuje silna agitacja, by jeść mniej mięsa i wogóle zadawałniać się mniejszą ilością pokarmów — wykazuje się mniejsza śmiertelność, szczególnie wśród mężczyzn. Człowiek naogół je więcej, niż potrzebuje. Przez to zgubne przyzwyczajenie podnosi się ciśnienie krwi, obciąża zbyt działalność serca i organów wewnętrznych, cały organizm zużywa się przedwcześnie. Wykazane jest dalej, że znacznie więcej ludzi umiera z przejedzenia, niż z braku pożywienia. W Niemczech w r. 1927 umarło 570.000 ludzi na choroby, powstałe ze złej przemiany materji, to jest z niewłaściwego odżywiania. Statystyka niemiecka wykazuje, że około 1815 r. jadano przeciętnie $\frac{1}{4}$ klg. mięsa tygodniowo na osobę; — w r. 1860 racja ta podniosła się do $\frac{1}{2}$ klg. — obecnie wypada 1 gk. mięsa tygodniowo na głowę, to znaczy tyle, co w r. 1913. Spożywanie nadmiernej ilości białka mięs-

nego pociąga za sobą konsumpcję alkoholu i używanie tytoniu. Mięso powinno być dodatkiem, a nie głównym pożywieniem, jak się to dzieje powszechnie. Jada się za dużo mięsa, sera, jaj, chleba białego, ciast i konserw. Za mało mleka, jarzyn, sałat, owoców, ciemnego, pełnowartościowego pieczywa i ziemniaków.

(c. d. n.)

Kamila Chotoniewska.

ZUŻYTKOWANIE ZIEMNIAKÓW W GOSPODARSTWIE DOMOWEM

Ziemniaki zjawiły się w Europie koło roku 1600 i od tej pory stały się dla nas niezbędną jarzyną. Nie tylko mamy z nich wiele smacznych potraw, ale służą one nam do wielu innych celów, o których chcę wspomnieć w krótkości.

Miazga z surowego ziemniaka jest doskonałym lekarstwem na wszelkiego rodzaju oparzenia. Wziąć takiej czystej świeżej miazgi i przyłożyć ją grubo na czystą lnianą szmatkę. Miazgę położyć na oparzone miejsce i zawiązać tą szmatką. Od świeżej miazgi ból ustaje. Po ogrzaniu, kiedy oparzenie znów zacznie boleć, należy zdjąć opatrunek i znów nałożyć świeżej miazgi. Oparzenie trzeba leczyć miazgą tak długo, aż stan zapalny zniknie, a wtedy dalsze leczenie nastąpi łatwo i szybko. Ten sposób leczenia jest znany i ogólnie stosowany.

Tę samą miazgę z surowego ziemniaka radzi Heide używać do czyszczenia delikatnych mebli i materiałów, ażeby usunąć z nich ślady od much i pajaków. Wszelkie silnie działające środki mogłyby uszkodzić politurę w meblach i farby w tkaninach. Położona na nie miazga, działająca przez pewien czas, nie uszkodzi ich, a plamy wywabi. Gdyby plamy od razu nie znikły, trzeba zabieg ten kilkakrotnie powtórzyć. Czasami wystarcza położyć na takie miejsca plasterki obranego i świeżo pokrajanego ziemniaka. Nie pozostawiają po sobie plam nawet na najdelikatniejszych tkaninach. Potem trzeba oczyszczone miejsca zmyć czystą wodą.

Wszelkie kosztowne metale również można czyścić sokiem i miazgą z ziemniaków. Świeczniki (żyrandole, czyli pajaki), złożone ramy obrazów i t. p., popstrzone przez muchy, szczególnie liczne na wsi, można czyścić ziemniakami. Ramy obrazów, luster i t. p. pocierać kawałkiem świeżo pokrajanego ziemniaka, a jeszcze lepiej pokryć je świeżą miazgą i pozostawić w spokoju, żeby na poplamione miejsca działała. Ziemniak nie szkodzi, a wszelkie plamy od much, pajaków i t. p. w niego wsiąkną. Po dłuższym działaniu miazgę zdjąć i miejsce po niej oczyścić miękką szmatką zwilżoną wodą, albo lepiej — suchą. Po zmywaniu wodą pozostawić w spokoju w ciepłym miejscu, żeby same obeschły. Pamiętajmy, że

skutkiem wilgoci tworzy się rdza, która szczególnie jest szkodliwą, jeśli się utworzy na miedzi (zielony grynszpan, bardzo silna trucizna).

Jeszcze jeden użytek: Włożyć świeżą, czystą miazgę ziemniaczaną do wody i wniej ją płókać, sok ziemniaczany rozpuści się w wodzie i utworzy preparat, w którym można doskonale prać wszelkie kolorowe wełniane materiały: nie tracą barwy i będą wyglądać, jak nowe. Rozumie się, że tę mieszaninę soku ziemniaczanego z wodą trzeba ostrożnie zlać z miazgi ziemniaczanej, która opadnie na dno. W tej mieszaninie również dobrze się piorą tkaniny bawełniane, jedwabne i t. p.

Do mycia naczyń cynowych i niklowanych można użyć surowych ziemniaczanych obierków, byleby były poprzednio wyługowane w wodzie. Obierki, pozostawione w wodzie, podczas ich ługowania dadzą rodzaj roztworu (jak słaby ług z drzewnego popiołu), który czyści metale, ale ich nie uszkadza. Ten rodzaj ługu wytwarza się z potaszu, którego mamy dużo w ziemniakach.

Stare gospodie pamiętają jeszcze te czasy, kiedy nie było rozmaitych proszków do czyszczenia noży, jakie mamy obecnie w wielkiej ilości. Dawniej czyściono je, pocierając świeżo przekrajanymi ziemniakami. Nawet stalówki oczyszczano ze rdzy i atramentu, wtykając je w kłęb ziemniaczany.

Mąka ziemniaczana może być użyta do wywabiania wszelkich plam z ubrań. Poplamione miejsce potrzeć kawałkiem waty, lub szmatki, zanurzonej poprzednio w podgrzanej mące ziemniaczanej (może być nawet gorąca). Przekonamy się, jak szybko tłuszcz i brud z plam wsiąka do gorącej mąki ziemniaczanej i szybko znika, nawet z najdelikatniejszych tkanin. Przy czyszczeniu takich plam, bardzo często pozostają mniejsze plamy od czyszczących płynów. Mąka ziemniaczana da się bardzo łatwo szczyścić odpowiednimi szczotkami i spadnie z ubrania, zabierając ze sobą wszelki brud i tłuszcz. Plamy lepkie nie dadzą się oczyścić mąką ziemniaczaną, trzeba na nie użyć soku ziemniaczanego, lub jego wodnistej wyciągu. Ten sok ziemniaczany da się zastosować do czyszczenia linoleum, dywanów i t. p.

Łupiny ziemniaczane są złym przewodnikiem ciepła. Chcąc zatrzymać żar w kuchni, lub w piecu przez całą noc, pokrywamy go szczelnie ziemniaczanymi łupinami i zamykamy wszelkie otwory, żeby nie było dostępu powietrza do żaru. Przekonamy się na drugi dzień, jak doskonale utrzyma się żar (żarzące się węgle), pod pokryciem z ziemniaczanych łupin.

Woda z gotowanych ziemniaków również może być wykorzystana, byleby ją na świeżo używać, mianowicie do poprawienia smaku zup i sosów. Resztą radzą skarmiać świnie. Ja, jednak, ze względu na wartość w niej soloniny (trucizny), wyługowanej z zie-

mniaków podczas ich gotowania, radzę być bardzo ostrożnym z użyciem jej do skarmiania.

Kawałkami ziemniaka czyszczą butelki, karafki, imbryki i inne naczynia z osadem od wody.

Tyle piszą zagraniczne gazety o tych pożytkach z ziemniaka, które nie wszystkim Czytelnikom są znane. L

PRZEPISY GOSPODARSKIE

POTRAWKA Z KRÓLIKA (CIVET DE LAPIN)

(Na prośbę czytelniczki). Zarzynając królika, krew zebrać do miseczki na łyżeczkę octu i odstawić. Po oczyszczeniu królika, pokrajać go na ręczne kawałki, zachowując głowę, wątrobę, płuca i serce. Piętnaście deka słoniny roztopić, skwarki wyjąć. Na słoninie tej zrumienić kawałki królika, dodać drugie piętnaście deka wędzonego boczką, pokrajanego w płatki i dziesięć deka grubo pokrajanej cebuli. Włożyć do rondla i dusić, aż cebula zmięknie. Zrobić zaprawkę rumianą z pięciu deka mąki, rozprowadzić szklanką wina czerwonego i dwiema szklankami rosołu lub wody. Dodać ćwierć kilo oczyszczonych i pokrajanych na ćwiartki pieczarek i przechowane skwarki ze słoniny. Sos ten wylać na zrumienione mięso. Osolić do smaku, włożyć pieprzu w ziarnkach, ziela, tymianku i gałki muszkatołowej (dwie ostatnie przyprawy sproszkowane). Dusić dwie godziny na najmniejszym ogniu, potrząsając rondlem, aby do dna nie przystało. Na dziesięć minut przed podaniem dodać krew z królika i z nią razem zagotować. Wyłożyć na głęboki półmisek i obłożyć wkoło grzankami z bułki, zrumienionymi na maśle.

KUROPATWY NA GRZANKACH

Kuropatwy należy wybierać młode, co się poznaje po żółtych nóżkach; kuropatwy stare mają nóżki koloru stalowego. Oprawione, jak zwykle, osolić lekko zewnątrz i wewnątrz, zawinąć każdą w płatek wędzonej słoninki, zrumienić w łyżce masła i uduścić do miękkości, podlewając od czasu do czasu parą łyżkami rosołu lub wody. W pół godziny, do czterdziestu minut, są już gotowe. Tymczasem przygotować dwa razy tyle, co mamy kuropatw, dużych, owalnych, grzanek z pszennego chleba lub bułki, zrumienić je z obu stron na maśle i trzymać w ciepłe na pogotowiu. Kuropatwy wyjąć, odwiązać słoninkę, przerać każdą wzdłuż na połowę, ułożyć każdą połówkę na grzance, przykryć płatkami słoniny. Do rondla, w którym się dusiły kuropatwy, wsypać łyżkę mąki, zasmażyć, rozprowadzić do gęstości zwykłego sosu śmietaną po połowie z wodą lub rosołem, raz zagotować. Jeśli sos nie dość gładki, przetrzeć go przez sitko i zaraz gorącym zalać kuropatwy. Do takich kuropatw najsmaczniejszą sałatą są borówki, smażone z jabłka-

Przy cierpieniach serca i zwapnieniu naczyń, skłonności do udaru i ataków apoplektycznych, naturalna woda gorzka „Franciszka Józefa“ zapewni łagodne wypróżnienie bez nadwyrężania się. Naukowe spostrzeżenia kliniczne przy chorobach naczyń krwionośnych dowiodły, że osobom w starszym wieku woda gorzka „Franciszka Józefa“ oddaje nieocenione usługi. Żądać w apt. i drog.

mi i gruszkami. Pozatem odpowiednią do nich jarzyną są buraczki duszone. Jeśli je podajemy z buraczkami, należy zrobić podwójną ilość sosu i połową jego polać gotowe już zaprawione buraczki.

KACZKA Z POMARAŃCZAMI

Zrumienić na maśle młodą, mięsistą kaczkę, włożyć do płaskiego rondla, posolić, zalać rosołem z kaczek drobków, aby tylko objęło; wcisnąć sok z całej pomarańczy i otartą na tarce skórkę z pół pomarańczy. Przykryć rondel pokrywą, dusić na wolnym ogniu, aż kaczka zmięknie, a sos się wygotuje do jednej trzeciej pierwotnej miary. Trzy pomarańcze obrać ze skórki, pokrajać w cienkie plasterki, ziarenka odrzucić, skropić dobrze likierem „curaçao“, dać tak postać godzinę. Kaczkę rozebrać, jak zwykle, ułożyć na półmisku, obłożyć plasterkami pomarańczy i polać przedzonym przez sitko sosem, który się uformował przy duszeniu kaczki.

OGÓRKI NA KONSERWĘ Z GORCZYCĄ

Późne, duże ogórki, nietknięte mrozem, obrać delikatnie ze skórki, wierzchy, czy raczej końce ścinać z jednej strony. Łyzeczką ostrożnie wybrać ziarenka, zastąpić je suchymi ziarnkami żółtej gorczycy. Ścięte końce umocować napowrót drewnianymi szpilkami, ogórki ułożyć, jak można najszczelniej, w szklanym słoju. Ocet mocny, spirytusowy lub winny, zagotować z listkiem, pieprzem, zielem, paru goździkami. Kto lubi, może dodać parę łyżek cukru. Ostudzonym tym octem zalać ogórki w słoju, uważając, aby były zupełnie pokryte, przycisnąć denkiem lub spodkiem i kamykiem. Słój trzymać zawiązany. Po tygodniu lub dwóch ocet zlać, dodać świeżego, zagotować razem, znów zimnym zalać ogórki. Gdyby ocet zmętniał po pewnym czasie powtórzyć jeszcze raz przegotowywanie. Po zagotowaniu poraz ostatni dodać na każdy litr octu pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Ta bardzo ostra sałata jest odpowiednia do rostbefu, sztufady i pieczzonej baraniny.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE

Pani K.—Warszawa. Naturalne białe skórki pierze się w rozgotowanym mydle marsylskim, biorąc 20 deka na 12 litrów miękkiej wody; po rozgotowaniu przedcedzić przez płótno. W zupełnym wolnym pierze się, nie trąc, ale wyciskając i maczając w świeżych mydlinach, dopóki nie będą zupełnie czyste; wkońcu spłókać kilkakrotnie miękką wodą. Suszyć na powietrzu, a gdy prawie suche, posypać pudrem, dobrze go ręką wetrzeć, wytrzeć miękką, skórzaną trzepaczką, a skórki będą, jak nowe Radzę Sz. Pani zaopatrzyć się w zeszyt „Życia Praktycznego“: „Jak nosić i przechowywać ubrania“, gdzie znajdzie Sz. Pani wszelkie wskazówki, potrzebne do utrzymania i odświeżania garderoby.

Pani M. S.—Zduńska Wola. Do malowania na płótnie używa się farb tak zwanych „do prania“. Mogą być polskie—profesora Buszka—albo zagraniczne. Tak jednych, jak drugich dostanie Sz. Pani w firmie J. Burof (Warszawa, Nowy Świat 47).

Pani M. R.—Straszyle. Mszyce zniszczy Sz. Pani przez skrapianie roślin odwarem tytuńowym. Plamy z farby olejnej i pokostu wywabić można, piorąc splamioną rzecz w zimnej wodzie z mydłem, a następnie dobrze wypraną plamę trzymając do wybielenia nad palącą się siarką. O ile plama była zaparzona gorącą wodą, nigdy i od niczego nie puści. Dla uzyskania szczegółowych wiadomości z tej dziedziny, niech Sz. Pani nabędzie zeszyt „Życia Praktycznego“: „Czyszczenie plam“. Po otrzymaniu 1 zł 80 gr. książeczkę natychmiast wyślemy.

Pani Z. K.—Kąpiele Wielkie. Plamy od much—zastrzegam się, że niczem przedtem nie czyszczone—trzeba wyprać delikatnie małą szczoteczką, albo kawałkiem miękkiej flanelki, maczanej w rozgotowanym mydle marsylskim; trzeba to robić prędko i ostrożnie, mocząc jaknajmniejszą przestrzeń materiału. Można też spróbować czyścić plamy spirytusem, lub eterem; o ile materiał w dobrym gatunku—plamy puszcza. Niech Sz. Pani nabędzie zeszyt „Życia Praktycznego“: „Czyszczenie plam“, a wskazówki, zawarte w nim, dopomogą nieraz w kłopotach.

Pani C. J.—Toruń. O wzory dywanów, ręcznie robionych, jak i o odpowiednie wydawnictwa, niech się Sz. Pani zgłosi do pani Rozmanitowej (Warszawa, ul. Ossolińskich Nr. 8). Nosimy się z zamiarem wydania wkrótce podręcznika z wzorami do roboty dywanów igłą; dotąd jednak nie posiadamy takowego i nie słyssałam, żeby były krajowe.

Pani J. M.—Lwów. Specjalna broszurka w języku polskim o hodowli kaktusów nie jest mi znana. Widziałam takie wydawnictwa niemieckie. Kaktusy potrzebują ziemi piaszczystej, wystawy słonecznej, wilgoci umiarkowanej. Nie lubią naogół zimnej temperatury. Łatwo dają się hodować, nie wymagając zbytnich starań.

„WINA OWOCOWE“

KSIĄŻECZKA TA UCZY WYROBU WIN SPOSOBEM
DOMOWYM Z OWOCÓW I JAGÓD

Cena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak.-Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.
Za zaliczeniem nie wysyłamy.

KOMPLETY HAFTU I TKACTWA ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ
WSPÓLPRACOWNICZKĘ DZIAŁU
ROBÓT W „BLUSZCZU“.

INFORMACJE TELEFONICZNE

do g. 10-ej RANO i od 3 do 5 PP. — TEL. 273-34

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8 tel. 244-18.